Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy" Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok III. WARSZAWA, DNIA 31 STYCZNIA 1925. Nr 73.

Chaos, niekompetencja i partyjnictwo w sprawach obrony państwa.

Omawialiśmy szerzej na tem miejscu zadania i ciężar odpowiedzialności korpusu dyplomatycznego każdego państwa, a Polski, z uwzględnieniem jej trudnej pozycji w konstelacji międzynarodowej, młodości aparatu państwowego, w szczególności. Wysunęliśmy i stale wysuwamy w stosunku do partji politycznych żądanie wyeliminowania z orbity ich klasowych, stanowych, czy grupowych interesów środków obrony państwa— polityki zagranicznej i wojska, jako dobra całego narodu, o doniosłości, w perspektywie historycznej, przytłaczającej swym ogromem zmienne nastroje, sympatje i wewnętrzne walki polityczne. Będziemy się też stale domagać od przyjaciół i przeciwników, aby w odniesieniu do polityki zagranicznej i wojska nie wolno się było posługiwać, jako firmą lub straszakiem, terminami: „lewicowiec" lub „endek", lecz aby pod uwagę brany był ciężar gatunkowy umysłu, uzdolnień i charakteru każdego człowieka; aby znalazła uznanie istotna zasługa i praca, a natomiast nie znalazła popleczników tępa głupota, zaprzedana ambitnej klice, pretendującej do wciskania nosa do każdej szuflady i teki ministrów z tajnemi aktami państwowemi, słowem, aby, we wspólnym wszystkich stronnictw i partji interesie, wytworzona została atmosfera sprzyjająca krystalizowaniu

się typu dobrego działacza — urzędnika państwowego, ożywionego pełnem zrozumieniem powołania swej służby, jej odpowiedzialności, jej wyższości nad dobrodziejstwami partyjnego służalstwa.

Warunkiem skuteczności takiego apelu do stronnictw politycznych jest systematyczna realizacja tej myśli programowej przez kierownictwo korpusu urzędniczego w służbie min. spr. zagr. i wojska. Z tej właśnie strony musi wypływać konsekwentna wola osłaniania do ostateczności, ryzykując najcięższą wojnę parlamentarną, bezinteresownej, czystej, rozumnej pracy państwowej urzędnika przed uroszczeniami partji, tu właśnie odpowiedzialne kierownictwo musi się nauczyć odróżniać zdolności i wiedzę od intryganctwa, przestać spoglądać za plecy każdego urzędnika i stosunek względem niego uzależniać od tego, kto tam za temi plecami stoi—stworzyć warunki, w którychby urzędnik mógł mieć pewność, że jeśli się odda sumiennej pracy, nie będzie wysadzony z siodła przez konkurenta, który w tym czasie nic wprawdzie nie robił dla swego urzędu, lecz za to doskonale informował o jego tajemnicach p. redaktora X. lub prezesa stronnictwa D., Ch., K., czy G. i dlatego znalazł, strachem przed obaleniem lub kompromitacją wymuszone, uznanie p. ministra, szczególnie, jeśli politycznie wywodzi się on z konkurencyjnego sklepiku. Siłą w pracy politycznej może być tylko jasno, konsekwentnie i odważnie broniony program. Kto go nie posiada, jest i zawsze będzie skazany na los piłki, której kierunek i siła lotu zależna jest od tego, kto i jak nią rzuci. Kto nie wie czego chce, lub wie, że nie chce niczego, musi być gotów czynić co chcą inni lub odejść.

Polityki zagranicznej, jak każdej innej, nie można robić bez ludzi, bez aparatu złożonego ze zbiorowego mózgu, talentu i nerwów. Historja uczy, że nawet największy filozof na przestrzeni 20-u wieków historji, Chrystus, szerzył swą naukę przez dwunastu apostołów, oddając w ich ręce skarby swych myśli. Gdyby był wzgardził współpracą uczniów, kto może odgadnąć, czy przejście jego genjuszu przez ten padół niedoli i łez wtrząsnęłoby tak mocno i gruntownie duszą ludzkości. Czyżby więc dla ministra polskiego, chociażby się nawet uważał za *sui generis* proroka, miało być ujmą głębiej wniknąć w prawdę, że aby działać skutecznie na szerokiej arenie zainteresowań życiowych państwa, trzeba przedewszystkiem stworzyć skuteczny tej pracy żywy instrument?

Tym instrumentem ministerstwa Spraw Zagranicznych jest personel dyplomatyczny. Jego wartość moralna i intelektualna jest dla państwa w daleko wyższym stopniu probieżem bezpieczeństwa na zewnątrz, od walorów poszczególnego ministra spraw zagranicznych. Zaryzykujemy twierdzenie, że lepiej jest mieć złego ministra przy dobrych posłach w stolicach bezpośrednio ważących na naszym losie państw, niż odwrotnie.

Gdy w aktualnej sytuacji wysiłki sprowadzają się do poszukiwania najlepszego ze złych, znaczenie korpusu dyplomatycznego, jako całości, urasta do szczególnie wielkich rozmiarów.

Stąd palącem staje się pytanie: jakie zasady kierują u nas doborem personelu dyplomatycznego?

Departament polityczny, który w tem ministerstwie winien odgrywać dominującą rolę, z przyczyny ustawicznych zmian jego kierownika, wygórowanych ambicji naczelników wydziałów politycznych, dążących do bezpośredniego z ministrem kontraktu, anarchji w całej centrali, tolerowanej przez ministrów — sprowadzony został *de facto* do roli podrzędnej. Znaczną część jego funkcji przejął departament administracyjny, włączając do zakresu swych funkcji sprawy personalne, obsadę placówek zagranicznych, a nawet cały szereg spraw natury dyplomatycznej. Dyrektor dep. administracyjnego, trwając bez zmian na tem stanowisku od początku istnienia ministerstwa, zdołał ustalić swoje szkodliwe wpływy, skupiając w sych rękach zasadniczego znaczenia sprawy: finansowe i personalne. Pomijając całokształt przeprowadzonej przezeń akcji oszczędnościowej, która sprowadziła się do ograniczenia politycznej dzialności ministerstwa na korzyść potrzeb natury administracyjnej, trzeba zwrócić uwagę na sposób funkcjonowania wydziału personalnego.

Wydział ten kwalifikuje ludzi, przyjmuje lub odrzuca siły urzędnicze. Powinien więc być niezależnym, jak cała służba obrony państwa, od wewnętrznych koterji partyjno-politycznych i powinien być związany z tym urzędnikiem, który będzie reprezentantem fachowej ciągłości prac politycznych: podsekretarzem stanu lub dyrektorem departamentu politycznego.

W obecnych warunkach, wydział ten poddany jest wpływom nie fechowej oceny dyplomatycznej lecz koteryjno-politycznej ocenie urzędników służby administracyjnej. Ludzie niemający podstawowych wiadomości w dziedzinie spraw zagranicznych kwalifikują kandydatów na dyplomatyczne stanowiska. Partyjna prawomyślność, karjerowiczowstwo, chodzenie urzędników około własnych interesów, przedsiębiorczość klik urzędniczych, nierówne traktowanie poszczególnych placówek, wydziałów i osób, zwalczanie za pomocą intryg i oszczerstw wybitniejszych pracowników przez nieoświeconych karjerowiczów w obawie konkurencji, obawa przed denuncjacją i wewnętrznem tajnem szpiegowstwem — oto są obecnie główne momenty spraw personalnych w min. Spr. Zagr.

Ten stan rzeczy nie może być dłużej tolerowany, przemilczany, ani owijany w jedwabnych słów przędziwo.

Minimum żądań w tej sprawie, czynników poważnie o przyszłość państwa zakłopotanych, musi się sprowadzać do wysunięcia na pierwszy plan fachowych kryterjów oceny pracy urzędników dyplomatycznych, i oddania całokształtu spraw personal-

nych ministerstwa w ręce człowieka fachowego, uzdolnionego, obdarzonego charakterem, chroniącym go od zależności koteryjnej natury, oraz pod względem moralnym nieposzlakowanego.

Takie jest minimum warunków ze stanowiska państwowego i, rzecz prosta, żadnych rozmów poniżej nich być nie może.

W. Stpiczyński.

Włochy wobec nowej ordynacji wyborczej.

Izba włoska uchwaliła znaczną większością głosów nową, przez rząd przedłożoną, ordynację wyborczą, stanowiącą powrót do ery przedfaszystowskiej, do okręgów jednomandatowych. To, co uchodziło za genjalny wynalazek Mussoliniego, mający zapewnić trwałość i niewzruszoność rządu, pogrzebane zostało cicho i skwapliwie, z inicjatywy samego rządu, nie wytrzymawszy jednorocznej nawet próby doświadczenia.

Pogrzebana została ustawa, obwoływana jeszcze rok temu za klejnot reform faszystycznych! A bogrzebana, jak rzekłem, skwapliwie i cicho: bez dyskusji niemal i bez momentów ożywienia, jakgdyby pod naciskiem nieubłaganej, fatalnej konieczności przechodziły artykuły nowego prawa jeden za drugim, zazwyczaj w redakcji rządowej, zlekka tylko niekiedy retuszowanej. Posłom większości rządowej — rzekłbyś — głos uwiązł w gardle; i nic dziwnego! Wszak, uchwalając nową ustawę wyborczą, składali oni do grobu własną karjerę polityczną, i jednocześnie przyszłość faszyzmu. Posłowie większości obecnej są posłami z mianowania; ordynacja nowa oddaje mandaty poselskie do rozporządzenia wyborców: to znaczy — żegnaj mandacie dotychczasowy!

Jakoż, świeżo uchwalona ustawa wytrąca z rąk rządu rozdawnictwo mandatów i otwiera pole dla rzeczywistej walki stronnictw.

Nie znaczy to jednak, aby była ona tem prawem, którego w dziedzinie wyborczej domaga się ogół demokratyczny Włoch. Ustawa przyjęta w r. 1925 — o ile nie dozna poprawek w Senacie — uchodzi w opinji powszechnej kraju za gorszą od tej, która obowiązywała aż do r. 1919. Zniesienie balotowania nie było nawet przedmiotem rozpraw, argumenty zaś wysunięte przez b. prezydenta ministrów, Orlando, nie spotkały się z najwątlejszą choćby próbą odparcia ze strony większości. Stworzenie przywileju w głosowaniu wyborczem dla pewnej kategorji osób (voto plurimo) mających rozporządzać głosem podwójnym lub potrójnym, padło i cofnięte przez rząd zostało w samej chwili stawiania wniosku: zarówno Mussolini, jak jego zgromadzenie, zorjentowali się, że tak jaskrawy przywilej dla szczupłej nawet garści osobników stałby się w rzeczywis-

tości nazbyt groźnym w ręku opozycji orężem kampanji wyborczej, zwłaszcza — opozycji skrajnej.

Jeżeli jednak wyznawcy faszyzmu nie mieli w Izbie wiele do powiedzenia, to sporo mieli w niej — do wysłuchania. Wysłuchać musieli cieżkiego przeciw rządom swoim oskarżenia z ust trzech najpoważniejszych w chwili obecnej mężów stanu włoskich: Orlanda, Giolittiego i Salandry. Ten ostatni, nie mogąc z powodu niezdrowia przybyć do parlamentu, ogłosił treść swej mowy przez ajencję Stefaniego. Ci trzej mężowie, trzej byli prezydenci rady ministrów (Orlando zwany Prezydentem Zwycięstwa) przedstawiają niebylejaką wagę w życiu politycznem Włoch. Pomijając karty, jakiemi każdy z nich wpisał się w księgę dziejów ojczystych, stwierdzić należy, że w chwili obecnej uosabiają oni opinję i siłę tej przewidującej a przemożnej burżuazji, która losy swe postanowiła oddzielić od losów faszyzmu i nadal o byt i zachowanie fortuny swej walczyć na drogach konstytucyjno-parlamentarnych. Oni to — ci trzej — byli rzecznikami normalizacji, t. j. powrotu do normalnych stosunków praworządnych w państwie. Oni, interpretując aspiracje sfer ziemiańskich i przymysłowych, współpracowali, bądź w Izbie, bądź w rządzie z Mussolinim, stanowiąc hamulec dla jego dyktatorskich zapędów i wędzidło dla samowoli dyktatorów pomniejszych: współpracowali póty, póki wierzyli w możność przystosowania się faszyzmu do norm i ustaw państwa konstytucyjnego; gdy wiarę tę — po d. 3 stycznia r. b. — utracili, chorągiew przymierza została zwinięta, i dawni współpracownicy — t. j. ogół liberalnego mieszczaństwa — przeszedł do opozycji.

Nie był zwykłym tylko odruchem temperamentu okrzyk Mussoliniego na fonfaronadę komunisty, określającego faszyzm, jako „zbrojne ramię burżuazji“:

— *Ma se è contro di noi, la borghesia!* *) — zawołał z ławy ministerjalnej wódz faszyzmu i, wołając tak, miał zupełną słuszność. Faszyzm włoski był ramieniem zbrojnem burżuazji. Dziś ma on burżuazję, burżuazję jako zorganizowaną klasę produkcji, przeciwko sobie.

To właśnie wykolejenie się faszyzmu, który, walcząc ze światem pracy, stracił jednocześnie zaufanie świata kapitału, wytwarza we Włoszech atmosferę, sprzyjającą niespodziankom i awanturnictwu. Nie czując dla się oparcia w żadnej realnej kategorji interesów społecznych, faszyzm wysuwa, jako hasło, abstrakcyjne pojęcie narodu, którego, rzekomo, ma on być jedynym, prawdziwym wykładnikiem. Ale, skoro z pojęcia narodu usunie się treść, związaną z organizmem pracy i wytwórczości, cóż z pojęcia tego pozostanie? Aparat biurokracji, wsparty na kadrach milicji? — Z tak zredukowaną strukturą na-

*) „Ależ burżuazja jest właśnie przeciwko nam“,

rodu nie chcą pogodzić się ci, którzy Włochy nowoczesne zbudowali, którzy wyposażyli je w instytucje liberalne i demokratyczne, którzy, wreszcie, poprzez wojnę światową poprowadzili kraj swój ku zwycięstwu i zapewnili mu stanowisko mocarstwowe w radzie wielkich mocarstw.

Nie sami socjaliści, i nie same tylko żywioły rewolucyjne dźwigają dziś ciężar walki z faszyzmem: do ataku nań ruszyła także burżuazja. I dlatego przyszłość faszyzmu jest przesądzona. Istnieć on będzie, niewątpliwie, czas jeszcze pewien nawet po upadku swego panowania, kołacąc się gdzieś na szarym końcu ultrareakcyjnych frakcyj; jako prąd historyczny, uległ on już teraz likwidacji, i trzyma się przy władzy nie swoją treścią polityczną, ale techniką i mechanizmem rządu.

— Przez cały dwuletni okres rządów faszyzmu — mówił Orlando w swej ostatniej opozycyjnej deklaracji w Izbie — nie przeżywaliśmy chwili tak ciężkiej, jak obecna, zarówno z uwagi na naprężenie umysłów, jak na nadzwyczajne, przez rząd przedsięwzięte środki karne i zapobiegawcze.

A gdy Mussolini próbował słowom tym zaprzeczyć: — „Dość wspomnieć, — odparł jego znakomity poprzednik na urzędzie premjera — o zajściach, jakie zdarzyły się w Pizie, i o zdaniu, wyrzeczonem przez tamecznego arcypasterza, że, jako biskup, płacze, a jako włoch, rumieni się ze wstydu (wobec napaści, dokonanych przez faszystów na związki katolickie)...

„...Ale spójrzmy — mówił w dalszym ciągu Orlando — na położenie prasy. Położenie prasy jest czemś niesłychanem, czemś, co nie znajduje analogji w dziejach żadnego z rządów, faszyzm bowiem nie przestrzega w stosunku do prasy, zawarowanego jej w statucie konstytucji, prawa. Obowiązujący w chwili obecnej dekret prasowy wydany został wbrew konstytucji; za niezgodny z ustawą zasadniczą uznał go sam rząd, występując z projektem nowego prawa prasowego, który nie został jeszcze uchwalony: w taki to sposób, między dekretem, który jest niezgodny z prawem, a ustawą, która prawem jeszcze się nie stała, żyjemy w pełni anarchji i samowoli... Istnieje, poza tem, słynny artykuł 3 prawa komunalnego, którym pokrywają prefekci zarządzaną przez się konfiskatę dzienników... Panie ministrze Federzoni (i tu b. premjer zwrócił się w stronę min. spr. wewnętrznych): radbym się dowiedzieć, jaki to adwokat doradził panu ten artykuł? Ów artykuł 3 występuje tak właśnie, jak występują błaźni w niektórych sztukach Szekspira, budząc śmiech śród najposępniejszego tła tragedji. Prefekt, który jest organem administracyjnym, powołany zostaje do orzekania w materji prawa konstytucyjnego. Ale, w takim razie, prefekt, z równym prawem, mógłby pewnego poranku wkroczyć do gabinetu pańskiego, panie ministrze, i zadekretować, że pan zakłócasz porządek publiczny“.

Gdy śmiech, jaki przy tych słowach wybuchnął na sali, a potem hałaśliwe protesty większości, z dzikim połączone tumultem, udało się wreszcie przewodniczącemu opanować i przywrócić ciszę, mówca skierował końcowe akcenty oskarżenia już wprost pod adresem obecnej w parlamencie hierarchji faszystowskiej:

— Wy, faszyści, — kończył Orlando — jesteście gatunkiem ciekawym. W rozmowach poufnych, wystawiacie sami stosowane przez się represje policyjne, jako rzecz najzupełniej usprawiedliwioną, nieodzowną, zdaniem waszem, jako oręż przeciw możliwym zamachom rewolucyjnym. Gdy jednak te same rzeczy powtarzam ja, stojąc na tej tu trybunie, protestujecie, jakgdybym prawił herezje. A przecież ten stan faktyczny rysuje się w całej wyrazistości z zestawienia dwóch godnych pamięci dokumentów: dwóch przemówień, wygłoszonych przez prezydentów rady ministrów, jedno w d. 23 listopada r. z., drugie w d. 3 stycznia r. b. W pierwszem zawarta była najuroczystsza zapowiedź powrotu do stosunków normalnych...

Musssolini (przerywając)... której przeciwnicy nie przyjęli!

Orlando: (odpowiadając) A cóż ja jestem temu winien?... Mowa styczniowa była zaprzeczeniem poprzedniej. Tamta, w listopadzie, wywarła na wszystkich wrażenie doniosłe. Ja, osobiście, wolę, mimo wszystko, Mussoliniego parlamentarzystę, niż Mussoliniego dyktatora. Mowa styczniowa była eksplozją gniewu, pełną pogróżek. Jednakowoż, powiadam panu, panie Mussolini, że jeśli nawet uczułeś się pan ciężko i niesprawiedliwie obrażony, to nie było w tem jeszcze przyczyny dostatecznej, aby uszczuplać dorobek ostatnich lat trzydziestu cywilizacji włoskiej. Jeśli nawet zostałeś pan obrażony, to kary za obrazę pańską nie powinien ponosić cały naród włoski!“

Nie będę streszczał argumentów oskarżenia, zawartych w mowie Giolittiego i Salandry, a stanowiących bądź rozwinięcie, bądź uzupełnienie tego, co powiedział Orlando. Fakt połączenia się tych trzech ex-prezydentów, którzy w przeszłości rozbieżnemi nieraz chodzili drogami, mówi sam za siebie. Jak również sama za siebie mówi zgłoszona przez nich formuła przejścia do porządku nad projektem rządowym: Nieodzownym warunkiem wstępnym — brzmi owa formuła — dla podjęcia jakiejkolwiek kwestji, dotyczącej wyborów do parlamentu, jest głębokie przeświadczenie, że wola powszechna będzie mogła wyraz swój osiągnąć w atmosferze poszanowania zasadniczych swobód obywatelskich: temu warunkowi rząd obecny nie odpowiada; tego zasadniczego poszanowania wolności nie zapewnia, i dlatego trzej byli prezydenci, acz samej reformie wyborczej przychylni, głosowali w Izbie przeciwko jej projektowi.

Mimo ich opozycji, projekt rządowy przeszedł i uchwalony został, jak zaznaczyłem na początku, przeważającą większością głosów: opozycja zyskała niewiele ponad trzydzieści głosów śród trzystu z górą obecnych. Trzeba atoli pamiętać, że do opozycji wewnątrz parlamentu dodają się automatycznie głosy tej opozycji, która parlament już od półroku opuściła, a która ogarnia całą lewicę demokratyczną i robotniczą (z wyjątkiem komunistów); a także i to, że głosy w chwilach przełomowych nietylko liczą się, ale i ważą. Dwieście głosów opozycji, w warunkach obecnych, to — dwieście ośrodków opozycji; ale trzysta głosów większości rządowej, to, właściwie, jeden tylko głos Mussoliniego, rozbity na trzysta atomów, pozbawionych woli i odpowiedzialności.

Większość rządowa odniosła zwycięstwo, ale zwycięstwo gorsze od klęski — typowe dla tych, którzy, jak rzekłby profesor T. Zieliński, noszą „pieczęć Persefony" na czole. Faszyści przegrali swój proces z historją w łonie społeczeństwa i nie odegrają się na terenie parlamentarnym. Podpisawszy nową ordynację wyborczą, podpisali wyrok śmierci na Izbę obecną, tę jedyną, w której mieli i mogli mieć większość. Izba ta, istotnie, była ostatnią podstawą prawną ich władania w kraju.

Dziś, gdy Izba sama przekreśliła to prawo, któremu żywot swój zawdzięcza, nie pozostaje jej, rzecz prosta, nic innego, jak rozwiązać się i odejść.

Ale dla rządowej większości jej członków odejść, znaczy tyleż, co — nie powrócić więcej.

Lumir.

Parodja konkursu na Muzeum Narodowe.

Brutal naśladujący wykwintne formy bycia, robi wrażenie i pocieszne i niesmaczne. Magistrat st. m. Warszawy udający poprawność działania, pozostaje w rzeczy samej grubianinem, któremu się tylko wydaje, iż pod białemi rękawiczkami nikt nie dostrzega rąk brutalnych i brudnych.

Swiat kulturalny uznał od dawna, że jednym z czynników postępu pracy mózgu i rąk ludzkich jest szlachetna emulacja, konkurencja, a jej wyrazem w poszczególnych dziedzinach i wypadkach—konkurs. Tam, gdzie chodzi o znalezienie monumentalnego wyrazu intelektu narodowego w danej chwili rozwoju historycznego, bądź w sztuce, bądź w rzemiośle, bądź w nauce, konkurs stał się zwyczajowem prawem. Przez swoją bezosobowość, stawiając sądzący aeropag wobec bizimiennego dzieła, konkurs ma na celu — ponad gmachem koteryjek, względów, solidaryzmu niedołęstwa i stronniczości, krępujących prawidłowy rozwój twórczości — torować drogę do czynu istotnemu talentowi. W szlachetnym turnieju, pod maską anonimu ukrytych nowoczesnych rycerzy wiedzy i talentu, znajduje również wyraz powszechna tęsknota ludzkości do strząśnięcia brudnego i skompromitowanego intryganctwa i karjerowiczowskiego służalstwa w życiu—tej atmosfery zaduchu moralnego w której głodem przymierali genjusze, zaś w pawie pióra porastali nadworni błazenkowie i fagasi—a dopuszczenia do rozdawnictwa laurowych wieńców i niełaski — sprawiedliwości.

Tak rozumie cel konkursów świat kulturalny, którego kultura tkwi w treści życia, myślenia i aspiracji, a nie w ich zewnętrznych formach, jak to ma miejsce, po za nielicznemi wyjątkami, u nas.

Sięgnijmy do przykładu ostatnich dni.

Magistrat m. st. Warszawy ogłasza konkurs „na budowę", t. zn. projekt budowy Muzeum Narodowego. Nie trzeba wyjaśniać znaczenia takiego gmachu reprezentacyjnego, by stwierdzić, iż w rzeczy samej nie mógł on powstać inaczej niż w drodze konkursu. A zatem konkurs. W oznaczonym terminie nadesłano 45 prac, zebrał się sąd złożony z poważnych przedstawicieli architektury, p. prezydenta miasta, dyr. Muzeum Narodowego płk. Gembarzewskiego i t. d., i dn. 22 grudnia ub. r. ogłosił rezultat swych prac: z nadesłanych projektów, w porządku kolejnym, osiem otrzymało nagrody w wysokości 1.500 zł. każda — reszta odpadła. Wystawa, uroczystości, wypłata nagród i t. d...

A teraz akt drugi — realizacja, t. j. wybranie z nagrodzonych projektów jednego do budowy. Los chciał, że p. prezydentowi Jabłońskiemu znudziła się już szopka przyzwoitości, i zdjąwszy krępujące rękawiczki wziął się po swojemu do dzieła. Poufnie zwierzył się komu uważał za właściwe, że dyr. płk. Gembarzewski zmienił nagle zdanie co do programu budowy nakreślonego w warunkach konkursu, że wobec tego prace konkursowe ozdobią magistrackie archiwum, a budować muzeum będzie p. architekt Heurich, według projektu, który dopiero wykona.

Nieprzyzwoitość takiego postawienia sprawy jest rażąca, nawet w naszych stosunkach.

Jeżeli bowiem żaden z nagrodzonych projektów nie nadawał się do wykonania, wolno było zarządzić konkurs ściślejszy pomiędzy specjalnie do tego zaproszonymi zdobywcami nagród, plus, jeśli już tak p. Jabłońskiemu na tem szczególnie zależy, p. Heurich. Natomiast wezwanie p. Heuricha, żeby bez, broń Boże, jakiejś kontroli i konkurencji wykompilował sobie z 45 nadesłanych projektów, wśród których znajdują się prace nie byle kogo bo profesorów: Przybylskiego, Lalewicza, Zielińskiego, Skórewicza, a nawet podobno samego p. Heuricha (odrzucona), jest niesumiennym wyzyskiem pracy autorskiej i stronniczością posuniętą do bezwstydu.

Niesumiennością, gdyż wyłudzać od poważnych ludzi za 1,500, a po strąceniach 1350 zł., projekt, za który, według obowiązującej taksy należy się autorowi, gdyby go wykonywał na zamówienie, 36 000 zł., pod pretekstem, że właśnie konkurs zdecyduje o budowie muzeum — znaczy postępować podstępnie, nielojalnie i niesumiennie. Nie może być bodaj wątpliwości, że gdyby autorzy prac nagrodzonych odwołali się w tej sprawie do sądu, p. Jabłoński poniółby ciężkie konsekwencje swej samowoli.

Nazwaliśmy dalej krok p. Jabłońskiego stronniczym. Otóż nie od rzeczy będzie przypomnieć, że jest on sam, mało znanym z prac, architektem, i że zanim został prezydentem miasta, piastował znacznie skromniejszy urząd—sekretarza Koła Architektów u boku prezesa Heuricha. Stąd głębszy pomiędzy obu panami sentyment. Nie wolno również zapominać o finansowej stronie imprezy. Kosztorys muzeum, według obliczeń magistrackich, wynosi 9 miljonów zł. P. Heurich zażądał honorarjum w wysokości 8-miu % od kosztorysu t. j. 720 tysięcy zł., co w dzisiejszych czasach stanowi znaczny majątek, nie mówiąc już, że 8% od kosztorysu jest stanowczo pozycją zbyt wygórowaną.

Z powyższego nie należy wyciągać wniosku, jakobyśmy chcieli stawiać w wątpliwość uzdolnienia i zasługi p. architekta Heuricha. Chodzi tu o etyczną, a nie zawodową stronę sprawy, co do której, być może, nie był dostatecznie zorjentowany. Rzecz w tem, że nie wolno doprowadzać do absurdu niezmiernie pożytecznej instytucji konkursu, lekceważyć publicznie zaciągniętych zobowiązań i pracy ludzkiej.

W. S.

Jakto p. gen. Raszewski „był zawsze tylko Polakiem“.

Niezrozumiała decyzja sądu wojskowego — otoczenia tajemnicą sprawy p. Raszewskiego contra kpt. Miszewski, w toku której żadne tajemnice, po za osobiście oskarżyciela dotyczącemi, nie były poruszone, poczyna już wydawać wielce smakowite owoce bezceromonjalnej arogancji i kłamstwa, z jakiem wczorajszy huzar pruski, poczuwszy bezkarność, usiłuje drapować się w polski sztandar narodowy. Zamiast uświadomienia społeczeństwa co do tej arcyciekawej osobistości w ramach materjału dowodowego dostarczonego przez oskarżonego i świadków na rozprawę, sąd, przez zamknięcie drzwi po dość znamiennych wizytach ks. Dalbora u najwyższych dostojników państwowych, przyczynił się walnie do utrwalania obrażającego uczucia narodowe widowiska, jakim raczy nas p. Raszewski w roli dygnitarza wojsk Rzeczypospolitej.

W dzisiejszych stosunkach urzędniczych i wojskowych zapewniających bezkarność niejednej wykolejonej jednostce, jeśli tylko potrafi stać się pożyteczną swemu możnemu szefowi, a odrzucających w stan niełaski ludzi o twardszym karku a czystych rękach — nie można nigdy wierzyć, że to co się danemu dygnitarzowi wydawało niezbędnem dzisiaj, jutro nagle nie nabierze dlań zgoła odwrotnej wartości i znaczenia. Dlatego nie interpelowaliśmy p. ministra Sikorskiego z jakich przyczyn, znając materjał sprawy Raszewski-Miszewski, nie uznał za konieczne przejść od częstych teoretycznych rozważań nad honorem munduru do praktycznego ich zastosowania, i skończyć raz z kpinami asymilowania bezwartościowego remanentu pruskiej masy spadkowej dla celów budownictwa narodowego. Byłaby to interpelacja bezcelowa.

Nie można natomiast zaniedbać uświadomienia opinji publicznej, która przecież, miejmy nadzieję, będzie jeszcze w tym państwie mieć niejaki głos, zapewne decydujący.

Ten obowiązek mając na uwadze nie można przejść do porządku nad znamiennym wielce dla endecji artykule zamieszczonym w 19-ym jej naczelnego organu w poznańskiem, *Kurjerze Poznańskim* p. t. „Po gen. Latiniku — gen. Raszewski“, opiewającym czystość narodową p. Raszewskiego i biorącym go w obronę przed zarzutami „aranżerów z pod znaków piłsudczyzny“. Czcigodny organ twierdzi dosłownie: że p. Raszewski „zawsze w armji niemieckiej był tylko Polakiem“... „do armji polskiej stawił się niezwłocznie z frontu zachodniego armji niemieckiej na wezwanie z Poznania, narażając swoją rodzinę na szykany ze strony władz niemieckich“.

Otóż od początku do końca twierdzenie to jest na kłamstwie oparte.

P. Raszewski zawsze był, aż do r. 1919-go Niemcem. Ożenił z Niemką p. Luchs, córką hakatysty dzierżawcy majątku państwowego-niemieckiego na G. Śląsku. Dwoje dzieci: syn i córka nigdy nie znali języka polskiego. Córka, jako sanitarjuszka w niemieckim czerwonym krzyżu, w r. 1915 umarła w Schleswigu. Syn Lambert do końca r. 1920-go, gdy p. Raszewski senjor był już dowódcą 6-tej dywizji polskiej i dowódcą Okręgu Genralnego Poznań, służył w Reichswehrze i dopiero dnia 23. 12. 1920 r. rtm. S. na prośby ojca, zapłaciwszy zań uprzednio długi, przeszwarcował go do Polski. P. Lambert oczywiście w tym czasie polskiego języka nie umiał zupełnie. O polskości p. gen. Raszewskiego świadczy rozmowa, jaką przeprowadził z nim przed wojną na balu 6-go p. huzarów obywatel ziemski z poznańskiego p. F. R. Zapytany czy pochodzi z Raszewskich z kościańskiego, ten, który według *Kurjera Poznańskiego* „zawsze w armji niemieckiej był tylko Polakiem" odpowiedział: „Ich verstehe nicht mehr polnisch. Mein Bruder der spricht polnisch".

Nie jest również prawdą aby p. Raszewski „do armji polskiej stawił się niezwłocznie z frontu zachodniego armji niem. na wezwanie z Poznania".

Znalazł się w Poznaniu, ponieważ wraz z innymi, jako cesarski oficer, otrzymał dymisję z armji niemieckiej, i poszukiwał środków do życia u brata obywatela ziemskiego. Do armji polskiej zgłosił się po zakończonym zwycięsko powstaniu przeciw Niemcom, prosząc ponadto o przyjęcie go pod pseudonimem, ponieważ chciał zachować czystość oryginalnego nazwiska względem Niemiec, od których miał nadzieję uzyskać zaopatrzenie emerytalne za wysługę lat w służbie wojskowej.

Fałszywem jest również twierdzenie, aby z powodu wstąpienia p. Raszewskiego do armji polskiej, jego rodzina narażona była „na szykany ze strony władz niemieckich w Niemczech". Nie może być uważane za szykanę trzymanie jego syna na służbie w Reichswehrze do końca 1920-go r. Prawda, ulegał on „szykanom" ze strony władz niemieckich... za szwindle przemytnicze i t. p. nielegalne finansowe operacje, czego żadną miarą na karb cierpień ideowych zaliczyć niepodobna.

Tyle, narazie, o polskości p. Raszewskiego, żyrowanej przez usłużną dla wszelkich mętów endencję.

Jeżeli mowa o jego moralności, niechże nam wolno będzie przytoczyć jeden fakt, na jej oświetlenie. Otóż p. Raszewscy zwrócili się do polskiego przedstawiciela dyplomatycznego, powołanego do pertraktacji z Niemcami, o zażądanie dlań olbrzymiego odszkodowania za zniszczone rzekomo meble. W toku sprawy okazało się, że meble, za które p. Raszewski żądał odskodowania, poprostu dobrowolnie sprzedał syn jego, zatrzymawszy dla siebie osiągniętą z tej tranzakcji gotówkę.

Czy tego jeszcze mało?

Kurjer Poznański obwieszcza pompatycznie, że p. Raszewski „wytoczył kilkanaście procesów karnych o oszczerstwa w prasie". Czekamy więc, czy znajdzie odwagę zaskarżenia powyżej przytoczonych faktów? Jeśli tak, postaramy się przyśpieszyć sprawę — nareszcie raz przystąpimy do zasadniczej rozmowy, tym razem już w sądzie cywilnym, gdzie nie działają względy, osłaniające tajnością rozpraw przywatne grzechy.

w. s.

„Srebrne i czarne".*)

Tryumfy poetyckie Lechonia są błyskawicznie szybkie. Wydawszy przed kilku laty mikroskopijnie szczupły zbiorek: „Karmazynowy poemat", wprowadzony został uroczyście dc panteonu literatury, jako jeden z najbardziej obiecujących i utalentowanych poetów z grupy „Skamandra". Kilka lat minęło po tej obietnicy; „Srebrne i czarne" jest znów zbiorem dwudziestu wierszy! Ten ilościowo mały dorobek przynosi szereg pochwał, wobec których trzeba mieć bardzo trzeźwą głowę, by nie dostać zawrotu — i daje nadto nagrodę na „konkursie wydawców". To suche i zimne zestawienie jest potrzebnem poto, aby uzmysłowić sobie istotę zagadnienia: albo Lechoń jest tak wyjątkowym talentem, iż w swym małym dorobku potrafił zamknąć skarby piękna i arcydzieła natchnienia, albo — ta sztuczna atmosfera, jaka się wytwarza zwykle dokoła poetów i poezji (dokoła, wszerz — zazwyczaj zupełna obojętność) psuje młodych pisarzy, stwarzając im złudzenia niesłychanie łatwych tryumfów i nieoczekiwanych wyniesień pod niebiosy.

Ryzykując zejście z tych wysokości, na które przyjacielska reklama wynosić zwykła naszych młodych poetów, na poziom, z którego zwykliśmy oglądać wszystkie zdarzenia naszej literatury, trzeba stwierdzić, że młoda poezja polska zdołała szczęśliwie otrząsnąć się z wpływów minionego okresu literatury i stworzyć swój własny styl, swoją oryginalną formę, własne, odrębne ujmowanie życia, stające się już dziś z kolei przedmiotem licznych naśladownictw. Lechoń nie wnosi do tego zbiorowego dorobku wspólnych i — niejako — ogólnych wartości. Nie daje ani nowej formy, ani żadnej z nowinek treści. Jeśli czem zwraca na siebie uwagę, to tem właśnie, iż zapowiada możliwości całkiem odmienne, całkiem niepodobne. Zapowiada możliwość szlachetnego, głębokiego, szczerego patosu, w szlachetnym wielkim stylu („Mochnacki"), głębokość sentymentu, przepastność smutku i nagość szczerości.

Nie skończonością czy zuchwałością formy — bo w tym względzie Lechoń pozostaje przy dawnych dobrych wzorach, nie tem, co zdołał wyrazić i zamknąć w swych paru dziesiąt-

*) *Jan Lechoń.* „Srebrne i czarne". „Ignis", 1925.

kach wierszy — wywołuje Lechoń słuszny najzupełniej wyraz uznania, lecz temi niespokojnemi porywami ku wyżynom wielkiej poezji, temi akcentami szczerości, szczytną prostotą uczucia.

W najsympatyczniejszych zresztą cechach jego talentu tkwi zaród słabości. Pisać mało i zrzadka — nie znaczy to jeszcze pisać dobrze. Wśród dwudziestu wierszy w „Srebrnem i czarnem", obok rzeczy bardzo dobrych, znajdujemy średnie, zwykłe płody literackie dobrego pióra, podobnie jak moglibyśmy je rozróżniać i odnajdować wśród liczniejszego o wiele dorobku. Lechoń ucieka tylko czasami na wyżyny poezji, lecz na nich nie przebywa. Ustaje wskutek tego ciągłość pracy literackiej, jednolitość wysiłku, doskonalenie się artysty w kunszcie poetyckim, lecz pozostaje nietkniętym ten zmysł szczerości, który jest wyższy ponad wszelkie wdzięki i wykwinty, ta żywiołowość nie rozmieniona na superlatywy, dzięki której poezja nie przestaje być spowiedzią duszy.

W sztuce, w zawodzie poety i liryka, tkwi zawsze pewien element aktorstwa, który daje możność wyprodukowania ze siebie fikcji poetyckiej i sprawia, że mogą powstawać wiersze i ich tomy, że wogóle możliwą jest praca poety nad swem dziełem. Życie jest z gruntu niepoetyczne — i trzeba szczególnego daru wygładzania jego szorstkich kantów, aby mogła powstawać artystyczna okrągłość poezji. Życie jest nijakie — i trzeba poświęcić coś z prawdy i rzetelności własnych przeżyć, aby je przystosować do poetyckiej twórczości. Jest to wzniosłem szaleństwem — chcieć patosu tylko wtedy, gdy odpowiada on patosowi życia, lub chcieć naprawdę przeżywać w rzeczywistości swe własne poetyckie uniesienia, chcieć wcielać w poezję te tylko rozdźwięki myśli, które odpowiadają rzeczywistemu wewnętrznemu załamaniu.

Lechoń jest takim szaleńcem, nieczułym na pokusy fikcji uczuciowych, który tkwiąc wszystkiemi fibrami w tem rzeczywistem, niepoetycznem, nijakiem, pogardy godnem życiu, zmagając się z niem codziennie sarkazmem, dowciwem, ironją, ustępując mu w walce — pobity, zwyciężony, poszarpany, ze starganemi nerwami — nie chce kłamać nikomu, by nie skłamać sobie. Nie będzie słusznem powiedzieć, że jest w nim spowiednicza szczerość, gdyż nie zna on wylewu szczerości: jest zawsze trochę zawoalowany, wstydliwie udrapowany w dostojeństwo stylu w maskę uroczystej powagi. Ale ma w sobie spowiedniczą sumienność, nie znoszącą odchyleń od prawdy.

Pisanie poezji jest wyjątkową chwilą w jego życiu. Jest to moment udatnej od powszedniego dnia ucieczki, schronienia się przed nim na wyżynie sztuki, jak chroni się człowiek na wirchy górskie, aby naprawdę i bezobłudnie żyć kilka godzin zdala od nizin. Tak, uciekłszy czasem, można chwilę żyć wśród tak właśnie bezobłudnego, prawdziwego patosu wielkiej sztuki, wśód dostojeństwa jej stylu, przepychu słów, wspania-

łości obrazów. Albo też będzie to moment pożądania szczerości, wyznania przed sobą jakiejś prawdy najgłębszej, której brak sprawia ból i czyni dzień—szarym i powszednim. Prawdy—którą powiedzieć można tylko w poezji, tylko w hipnozie słów, rymów, tłoczących się porównań i obrazów.

Ale zawsze pożąda Lechoń prawdy, gorzkiej a rzeczywistej, jak gorycz na dnie kieliszka, pod musującą pianą stylu, po upojnym smaku widzianego piękna. Jest to prawda — wyznanie, prawda — rezygnacja, prawda — znużenie, w którem pożąda się wyzwolenia od własnej duszy, jak kiedyindziej pragnąć można wyzwolenia od własnego ciała. Prawda, że zarówno nietrwale się pragnie, aby było inaczej, jak i opada na dno, przyznając, iż „może nie być lepiej". Prawda o miłości i śmierci, że one jedne są rzeczywiste, o nicości życia i znikomości tęsknoty.

Ta prawda najwewnętrzniejsza błyśnie czasami, nieczęsto, jak uśmiech słoneczny w niepogodę. Może kiedyś nazawsze zaniknąć dar jej widzenia: ten dar oczyszczenia samego siebie z mętu i namułu. Lecz nie — ona znów kiedyś powraca i nie dozwala tego daru wewnętrznych jasnowidzeń wymienić na taniość papierowych wzruszeń i papierowych udręczeń na ciągłość poetycznego wylewu, na płodność — na literaturę.

Takim jest Lechoń — i zapewne takim musi pozostać. Pozostać może w znacznej części i przez to, że koncentruje się całkowicie w samym sobie, tamując dostęp pięknu, idącemu z zewnątrz, którego odbiciem był nprz. piękny i obiecujący fragment „Mochnacki". Na rozszerzeniu skali odczuwań, na poszukiwaniu w nieogarnionej dziedzinie piękna, artyzm Lechonia mógłby, zdaje się, zyskać wiele. Zresztą — wszelkie rady dawane poetom są niepożądane i wprost zatrącają o — n e-dyskrecję.

Jan Dąbrowski

P. minister Skrzyński nie zechciał...

P. minister Skrzyński nie zechciał odpowiedzieć na pytanie: czy znane mu są wysoce szkodliwe dla powagi państwa i nielojalne metody pracy dyrektora departamentu administracyjnego ministerstwa Spraw Zagranicznych, i czy zamierza w stosunku do p. Bertoniego wyciągnąć konieczne konsekwencje. Tem samem zostaliśmy zmuszeni do publicznego ujawnienia w tej sprawie materjału faktycznego, dotyczącego zwłaszcza „funkcji dyplomatycznych p. Bertoniego w państwach Południowej Ameryki" w służbie austryjackiej (*Kurjer Warszawski* Nr. 352 z 1923 r.) i wpływu jaki do dnia dzisiejszego wywierają one na jego politykę w polskim ministerstwie spaw zagranicznych.

Z powodu braku miejsca w numerze niniejszym, materjał ten podamy w następnym tygodniu.

KRONIKA POLITYCZNA.

SPRAWA STOSUNKÓW POLSKO-GDAŃSKICH, zaktaulizowana przez konflikt o skrzynki pocztowe, weszła obecnie na tory zasadniczych rozważań i definicji. Wszystkie kluby sejmowe wystąpiły dn. 20 b. m. z nagłemi wnioskami w tej sprawie. Stronnictwa prawicy oraz P. S. L. Piast i N. P. R-tnicza złożyły wniosek wspólny, Wyzwolenie zaś i P. P. S. oddzielne. Pierwsze dwa wnioski domagają się od rządu trzymania się w stosunkach z Gdańskiem ściśle litery Traktatu Wersalskiego, którego postanowienia winny być jedynem źródłem interpretacji niejasnych lub spornych przepisów późniejszych umów i konwencji wykonawczych. Wniosek Wyzwolenia szerzej porusza aspiracje Wolnego Miasta do suwerenności państwowej, stwierdzając, iż uznanie tych uroszczeń „byłoby równoznaczne z przejściem do porządku nad art. 104 Traktatu Wers., a tem samem i nad zasadą swobodnego dostępu Polski do jej jedynego portu morskiego". Klub P. P. S. zgłosił lapidarny wniosek, wyrażający życzenie pokojowego załatwienia konfliktu. W rozwoju opinji politycznej polskiej o całokształcie stosunków polsko-gdańskich nie można pominąć mowy marszałka senatu Trąmpczyńskiego z dn. 26 b. m. słusznej w treści, lecz wysoce niezręcznej w formie.

UKŁAD ROSYJSKO-JAPOŃSKI, zawarty dn. 20/21 stycznia, przywraca pomiędzy obydwu państwami stosunki dyplomatyczne i konsularne, przewiduje zawarcie układu co do żeglugi morskiej, oraz traktatu handlowego na zasadach największego wzajemnego uprzywilejowania. W sprawie propagandy układ wyraża chęć przyjaznego współżycia. W zakresie spraw gospodarczych Japonja otrzymuje koncesję na eksploatację 50% źródeł naftowych północnego Sachalinu. Cały obszar naftowy ma być podzielony na kwadraty, których połowę ma otrzymać Japonja do eksploatacji. Co do reszty kwadratów, na wypadek gdyby nie eksploatowały ich sowiety, Japonja będzie miała prawo ubiegać się o koncesje w stosunku do nich na prawach zastosowanych względem pierwszych. Ponadto Japonja otrzymuje prawo podejmowania badań na obszarach naftowych wschodniego wybrzeża Sachalinu w przeciągu 10 lat na obszarze 1 tysiąca kw. wiorst, przyczem 50% wykrytych źródeł przypadnie Japonji w postaci koncesji. Wreszcie Japonja otrzymuje koncesje węglowe na wybrzeżu północnego Sachalinu.

NOTA ALJANTÓW DO NIEMIEC w sprawie strefy kolońskiej, doręczona została przez przedstawicieli państw sojuszniczych w Berlinie dn. 26 b. m. kanclerzowi Lutherowi. Nota wyjaśnia interpretację aljantów art. 428 i 429 Traktatu Wersalskiego, stwierdzając słusznie ścisły związek pomiędzy przyspieszeniem ewakuacji terenów okupowanych, czego domagają Niemcy, z wykonaniem przez nie warunków, dotyczących rozbrojenia. Nota stwierdza, że wszelkie poczynione w tej sprawie przez Niemcy propozycji są nie do przyjęcia, i że aljanci nie są wogóle skłonni dyskutować w tej sprawie.

MOWA PREZYDENTA COLIDGE'A O ROZBROJENIU, wygłoszona dn. 25 b. m., stwierdza gotowość St. Zjednoczonych przystąpienia do haskiego trybunału rozjemczego, powołanego do rozstrzygania międzynarodowych konfliktów. Prezydent zastrzegł wszakże, że przystąpienie to uzależnia od takiego określenia kompetencji trybunału, na które mogłaby się zgodzić Ameryka. Celem ułatwienia prac waszyngtońskiej konferencji rozbrojeniowej, doradza uzupełniające układy międzynarodowe, któreby pozwalały zmniejszyć wydatki na zbrojenia. Za jedną z pilniejszych prac uważa stworzenie międzynarodowego kodeksu.—Jeśli sądzić z telegraficznego streszczenia tej mowy, należy zauważyć, że nie posuwa ona w niczem realizacji zagadnienia rozbrojenia. Z ust przedstawiciela St. Zjednoczonych nie padły słowa, zdolne budzić optymizm. Zapowiedź przystąpienia do trybunału haskiego połączona została z zastrzeżeniem w sprawie jego kompetencji, odbierającem temu oczekiwanemu w Europie z dużem naprężeniem aktowi głębszą wartość polityczną.

ZMIANA GABINETU PRUSKIEGO. Lewicowo-centrowy gabinet pruski Brauna, oparty o koalicję centrowców, demokratów i socjalistów, po gwałtownych atakach nacjonalistów i komunistów podał się do dymisji. Fizjognomja przyszłego gabinetu uzależniona jest od stanowiska centrowców i partji Stressemana.

Wydawnictwa nadesłane.

PANI — miesięcznik poświęcony kulturze i estetyce życia, № 12, gwiazdkowy.

Rekonstrukcja gabinetu redakcyjnego *Pani* wydała, w postaci numeru gwiazdkowego, plon najwyższego godny uznania. Obok ofiarnego założyciela pisma p. Gustawa Zmigrydera, na fotelu redakcyjnym zasiadł p. Marjan Dąbrowski, potentat finansowy i jeden z najzdolniejszych wydawców polskich. Dopływ świeżej strugi złota do kasy wydawnictwa nie omieszkał też wywrzeć dobroczynnego wpływu na jego prezencję—numer gwiazdkowy *Pani* pod względem wydawniczym jest bezprzykładnie luksusowy. Że zaś szczególnym losu zdarzeniem luksus oddany został w służbę estetyce i talentowi, uniknął niebezpieczeństwa bufonady, przynosząc czytelnikowi całą gamę sensacji artystycznych: malarskich i literackich. To co, w tego typu piśmie, najważniejsze, strona zdobniczo-graficzna, postawione, pod każdym względem, na wysokim poziomie. Obok plansz kolorowych Tadeusza Gronowskiego, Zygmunta Kamińskiego i Al. Rzewusskiego, obfitość kompozycji zdobniczych i ilustracji Zofji Stryjeńskiej, Ireny Pokrzywnickiej, Wacława Borowskiego, Edmunda Bartłomiejczyka, Tad. Gronowskiego i Jerzego Zaruby — istna powódź świetnych fotografji dzieł sztuki malarskiej i architektonicznej, oraz aktualności teatralnych i literackich.

Na okrasę numeru wiązanka utworów Kornela Makuszyńskiego, Kadena Bandrowskiego, Kleszczyńskiego, Grubińskiego, Iwaszkiewicza, Wierzyńskiego, Bo'ya, Lorentowicza i wielu innych.

Strona ujemna pisma — to jego cena. 6 złotych numer! Dla ludzi kulturalnych, a kultura z majątkiem rzadko w parze chadza, taki wydatek na pismo luksusowe przekracza zasoby kieszeni. Nie pomstujemy na wydawców — i tak do każdego numeru grubszy grosz dokładają. Trzebaby wszakże obmyśleć sposób uprzystępnienia inteligencji możności abonowania *Pani*.

Sprostowanie. Ad Nr. 71 str. 43 — podane w wierszu 11-ym od dołu nazwisko „Kosiński" winno brzmieć „Krosiński". Fakty związane z nazwiskiem „Kosiński" nie odnoszą się, rzecz prosta, do p. Krosińskiego.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty,** kwartalnie **3 złote.** Zagranicą kwartalnie **5 złotych.**
Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288.**

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA", Moniuszki 11.